

Węże, czyli Studium w szkarłacie



Anna Kiesewetter

Anna Kieseewetter

WEŻE
CZYLI STUDIUM W SZKARŁACIE

Łódź, 2013-2014

© Copyright by
Anna Kiesewetter & e-bookowo
Grafika na okładce: Marek Łukaszewicz
Projekt okładki:
Marek Łukaszewicz

ISBN 978-83-7859-317-1

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2014

[Kup książkę](#)

Tu my,
przeklęci, wykluczeni,
wciąż naznaczeni piętnem grozy,
jak psy bezdomne przyczajeni
na każdym rogu, tuż za rogiem.

Tu my,
zbrodniarze, choć zgładzeni
i wykreśleni z listy ludzi,
czasem ukryci wśród przestrzeni
dat, na wyklętych książek stronach.

Tu my,
co szepcząc ci na ucho,
niepewni wymawiamy imię,
które powinno tkwić pod ziemią
na wszelkie losu zapomnienie.

Ciszej,
choć wilczej nam natury
nie poskaąpiła tłumowi siła,
wciąż istniejemy, wbrew fortuny
kołu, co wciąż z mocnymi trzyma.

Tu my,
przeklęci, wykluczeni,
z dala od wszelkich praw tej ziemi.

*

Jestem czy nie jestem? Istnieję czy nie istnieję? A może to wszystko, co noszę w sobie, jest jedynie złudzeniem? Czego chciałam, przemierzając poszczególne etapy życia aż do tej chwili, kiedy skulona w fotelu wpatruję się w niebo, po którym krążą błyskawice, jak węże z sykiem rozdzierające niebo, żeby potem runąć na ziemię i wywołać huk, od którego trzęsą się ściany?

Pytałam siebie wielokrotnie: dlaczego ja? Czy moje życie potoczyłoby się inaczej, gdyby nie te ślepe prawa natury, które nami rządzą? Nie patrzę na siebie w lustrze. Odwracam głowę na widok lustra. Od dawna jest pęknięte.

Za oknami zmieniają się pory roku, deszcz, śnieg, potem deszcz, słońce i znowu ślota zostawiająca na szybach szary osad. Liście wyrastają i opadają, a we mnie nie zmienia się nic. Nie jestem pewna swojego istnienia.

Kiedy zaczęłam pisać wiersze, moje jałowe życie nabrało sensu. Miałam jakiś cel, do którego dążyłam nieprzerwanie, choć rzadko kto je widział, rzadko kto je czytał. Pisanie to jakby rozmowa z Bogiem – mówiłam sama do siebie. Wiem, że znajduję się na pozycji straconej, choć usiłuję zachować jakiś porządek w codziennym bytowaniu. A więc jestem, czy w ogóle mnie nie ma?

Powtarzam sobie codziennie rano: twoje życie nie jest takie złe, mogło się wydarzyć coś gorszego, niż się wydarzyło. Dziękuj niebiosom za to, co masz i nie wy-

brzydziej. Życie nie obeszło się z tobą po macoszemu.

Ludzie gardzą takimi jak ja. Omijają ich, unikają. A przecież zostało we mnie jeszcze tak dużo świadomości. Bo planów do zrealizowania już nie ma. Skończyły się.

Tkwią nieustannie na pozycjach straconych. Nie toleruje się wioskowych głupków. Choć staram się myśleć logicznie, moja świadomość od czasu do czasu rozpada się na miliony maleńkich okruszków i świeci w ciemności, niby zagubiona galaktyka, do której nie dotrze żaden zdobywca.

Jestem skazańcem. Zostałam skazana na niebyt w momencie, kiedy zapadł wyrok. Odtąd znajduję się wyłącznie na wygnaniu, choćbym nie wiem jak się starała. I gdyby nie wiersze, które zapisuję w środku nocy w kupowanych i gromadzonych starannie zeszytach, skazana bym była na wykluczenie z mojej Itaki.

Ale mogę powiedzieć, że w tym wszystkim miałam wiele szczęścia. Mogło się skończyć na dworcu, albo w studziencie elektrociepłowni, gdzie zapijałabym tanim winem moje troski, mając za towarzystwo zawszonego narkomana. O takich też słyszałam. Zbierają ich potem do czarnych worków i wywożą na wysypisko zwane cmentarzem, zakopują w bezimiennych grobach, które rozpadają się stopniowo, rok po roku, aby za jakiś czas przyjąć następne zwłoki.

Ja miałam szczęście. Nie piję, nie narkotyzuję się, choć w życiu wypaliłam niejedną paczkę papierosów. Na to sobie pozwalam. Choć odrzucona przez społeczeństwo na margines bytu, jednak udało mi się spotkać

w życiu ludzi życzliwych, pomocnych, przyjaznych. Takich, co nie odczuwali przede mną strachu, ale wspierali w mojej walce o istnienie. Przecież tak łatwo mogłam przestać być.

Dziwne to społeczeństwo, które tworzy apoteozę raka, a odrzuca tych, co nie ze swojej winy nie do końca rozumieją jego sens. Dziwny to świat, który reaguje przerażeniem na granicę dwóch świadomości, gdzie impulsy elektryczne krążą w zaburzonych kierunkach i stwarzają nieprawdopodobne konfiguracje. Ludzie nas nie rozumieją. A wtedy rodzi się strach.

Ale jednocześnie podarowano nam jakieś bogactwo, jakiś skarb, którego darmo szukać wśród przeciętnych ludzi, zaprzątniętych problemami dnia codziennego. Ten, co tego nie przeżył, nie zrozumie. Ten, który tego nie przeżył, a zrozumie, jest wielki.

Moje istnienie czasem zapada się w przepaść, wtedy z trudem wydobywam się na powierzchnię i staram się nie utonąć. Ale dla mnie najważniejsze jest zachowanie własnej godności. Choćbym wygadawała nie wiadomo jakie głupstwa, choćbym szalała. Ale ja nie szaleję. Nie wygaduję głupstw. W każdej sytuacji staram się zachować spokój i ten spokój mnie ratuje. Mogę napisać następny wiersz.

Jakże ciężko mi było na początku, kiedy potrafiłam napluć na brodatego profesora nazywając go diabłem. A może i był diabłem w takim rozumieniu, jakie rodzi się wśród zagmatwanych impulsów elektrycznych, rozbiegających się bezładnie na wszystkie strony, jak spłoszone stado owiec. W takich chwilach wydawało mi się, że mój mózg istnieje niezależnie ode mnie, jak osobny byt.

Myślę, że mój świat jest poezją, poezja jest we mnie i ja sama staję się poezją. Tylko w ten sposób mogę wytłumaczyć sens swojego istnienia, ja, która jestem i nie jestem zarazem, istnieję i nie istnieję. Od tego się nie umiera. Lekarz tłumaczył mi, że tacy jak ja żyją długo i nie ma szansy, żeby mnie dopadły rozliczne choroby naszych czasów. Mogę żyć jeszcze bardzo długo i powoli zapadać się w siebie. Chyba że będę walczyć i nie poddam się.

O nie, ja nie poddam się łatwo. I mnie, jak setkom mnie podobnym, udało się zapanować nad własnym demonem, oswoić go, udomowić, niby zwierzę, początkowo nieufne i groźne, które już na zawsze życie ze mną pod jednym dachem.

Gdyby nie ludzie, pewnie bym nie przetrwała. Ale udało mi się ulogicznąć swoje przeżycia, zaadoptować je. Może nawet bywam szczęśliwa, choć szczęście bywa tak zawodne.

Najgorszy jest moment, kiedy patrzę w oczy nieznanego człowieka i myślę: zgadnie czy nie zgadnie? Odkryje czy nie odkryje? Najbardziej lubię anonimowy tłum. Mieszam się z nim, udaję, że gdzieś się spieszę, zatracam się w tym tłumie, a on nie reaguje, omija mnie obojętnie, jeszcze jednego zwyczajnego człowieka, którym nie jestem, a którym chciałabym być.

Nauczyłam się mimikry. Ubieram się jak inni, moją tarczą jest niewidzialność, dzięki niej ludzie mijają mnie obojętnie i nie dostrzegają. Staję się przezroczysta.

Długo uczyłam się mojej mimikry. Patrzyłam na innych i kopiowałam ich, jak się kopiuje dobrze znany

obraz, aby go przerobić na swój własny, który w nikim nie wzbudzi niepokoju. Ale to wymaga ode mnie stałego napięcia, dlatego niechętnie wychodzę z domu. Nie przeglądam się w lustrze wychodząc. Moje jest pęknięte.

Był czas, kiedy tęskniłam za rodziną, za mężem wracającym wieczorami z pracy, za gromadą rozkrzyczanych dzieciaków. Teraz wiem, że moim przeznaczeniem jest samotność. I nie mogę wymagać od nikogo, żeby za mną szedł. Razem ze mną musiałby pokochać ten mój świat, a to jest na zawsze strefa zakazana.

Czasem budzę się z lękiem w nocy i nie zapalam światła. Co jeszcze poczuję bądź zobaczę, czego do tej pory nie widziałam? Ukrywam się więc, ale życie wypycha mnie na zewnątrz, zmusza do opuszczenia tego przybytku spokoju, jakim jest zwyczajność. Wtedy wkładam swoją czapkę-niewidkę i wyruszam, gotowa walczyć o to, co najważniejsze. Dopóki mogę zamknąć drzwi na klucz i odetchnąć z ulgą.

Ileż mnie kosztował powrót do pozornej normalności. Ileż łez i wyrzeczeń. I udało się. Moja mimikra trwa. Choć wieści szybko się roznoszą i najwięcej bólu sprawiają mi byli znajomi, patrzący na mnie uważnym spojrzeniem spod spuszczonej powiek. Wiem, że czekają na jakąś sensację. Na jakiś nieopatrny gest z mojej strony. Na choć jedno słowo, które potem będą mogli komentować. Ale zwyciężam. Moja mimikra trwa.

*